



SĄD NAJWYŻSZY

Rzeczypospolitej Polskiej

Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego

Prof. dr hab. Małgorzata Gersdorf

Warszawa, dnia 4 września 2017 r.

**Wystąpienie prof. Małgorzaty Gersdorf
- Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego
na konferencji naukowej pt.
„Wymiar sprawiedliwości: ewolucja czy rewolucja?”
Warszawa, 4 września 2017 r.**

*Szanowny Panie Rzeczniku! Szanowni Profesorowie, Doktorzy, Doktoranci
i Studenci Uniwersytetu Warszawskiego! Szanowni Przedstawiciele Samorządów
Prawniczych! Wszyscy Szanowni Zebrani!*

Jako patronka dzisiejszej konferencji z wielką radością witam tych, którzy zdecydowali się poświęcić nieco swojego czasu, aby porozmawiać o rzeczach ważnych, które – zwłaszcza przez ostatnie dwa miesiące – niezwykle żywo poruszały opinię publiczną. Lipcowe zgromadzenia publiczne w obronie niezależności sądownictwa świadczą o tym, że nasz kraj znajduje się w przełomowym momencie swoich dziejów. Stopień polaryzacji nastrojów społecznych, jakiego obecnie doświadczamy, otwiera pole do różnych, niekoniecznie pozytywnych scenariuszy rozwoju sytuacji w naszym kraju. Instytucje, których funkcją jest wymierzanie sprawiedliwości, są w naturalny sposób bliskie obywatelom i nie bez przyczyny stały się osią sporu o przyszłość kraju. Dlatego cieszy mnie – jako sędzię i obywatelkę RP – fakt, że środowisko naukowe rozumie tę wielką, choć niestety lekceważoną w naszym kraju, potrzebę debaty. Nie ma zaś lepszego miejsca, aby ją prowadzić, niż aula uniwersytecka.

Czytając program dzisiejszej konferencji, kilkakrotnie zadawałam sobie pytanie, co mieli na myśli jej organizatorzy, formułując temat: „Wymiar sprawiedliwości. Ewolucja czy rewolucja?”. Odwołując się do dobrze znanej filozofom – również prawa – potrzeby rozdzielenia sfery bytu od powinności,

można by dojść do wniosku, że może tu chodzić o jedno z dwojga. Albo przedmiotem rozważań ma być diagnoza sytuacji faktycznej, a tym samym odpowiedź na pytanie, czy tzw. reforma sądownictwa stanowi „jeszcze” ewolucję lub „już” rewolucję. Albo możemy rozmawiać o tym, czy wymiar sprawiedliwości z jakichś powodów trzeba przekształcić, a jeżeli tak, to czy należy do tego używać środków radykalnych (rewolucja), czy też zmieniać ostrożnie, metodą drobnych kroków (ewolucja).

Spróbuję przedstawić mój punkt widzenia na obie te kwestie. Zatem najpierw kilka słów na temat diagnozy sytuacji.

Rewolucję zazwyczaj kojarzymy ze radykalną zmianą systemu politycznego – wybuchającą z nienacką oraz następującą przy użyciu bezpośredniej przemocy wobec osób i mienia. Wierzymy, że jest to proces tyleż gwałtowny, co i niekontrolowany. Taka ogólna definicja jest jednak obarczona zbyt wieloma uproszczeniami. Historia uczy nas, że rewolucje wybuchają w różny sposób i mają różny przebieg, a przynajmniej część z nich – choć wykorzystują one zawsze paliwo społecznego niezadowolenia oraz erozję aparatu państwowego – jest kontrolowana przez zainteresowaną osobę lub grupę, która rządy innych chce zastąpić własnymi. Precyzyjnie sterowany przebieg miała zarówno rewolucja bolszewicka (Rosja 1917 r.), jak i kulturalna (Chiny 1966 r.). Co więcej, przewroty przechodzą różne fazy rozwoju, a ich początek nie zawsze jest wydarzeniem spektakularnym. Któż rozsądny w 1789 r. uznałby doniosłość aktu proklamowania Konstytuanty w słynnej, wersalskiej Sali do gdy w piłkę? Kto przejmował się bolszewickim zamachem stanu w roku 1917? Dokładnie w chwili ataku na Pałac Zimowy w Petersburgu w pobliżu odbywała się premiera opery i normalnie kursowały tramwaje, a w ciągu kolejnych dni i tygodni na giełdzie nadal handlowano papierami wartościowymi. Rewolucje to momenty swoistego przyspieszenia historii, które łatwo uchodzą uwadze współczesnych.

Z takim momentem niewątpliwie mamy do czynienia dzisiaj w Polsce i aby to stwierdzić, nie trzeba wielkiej przenikliwości. Dowód ograniczę do tego, na czym się znam – do płaszczyzny prawnej. Zwróćmy uwagę, że żaden rewolucjonista (bez względu na barwy polityczne) nie szanuje zastanego porządku prawnego, bo jest on częścią pogardzanego przezeń systemu instytucji społecznych. Dla rewolucjonisty nie liczą się ani ustawy, ani konstytucja.

Gdyby to, co od niemal dwóch lat dzieje się w Polsce, nie miało charakteru *sit venia verbo* rewolucji, to Sejm jako władza **równa – ale nie nadrzędna (!)** –

w stosunku do sądów i trybunałów nie dokonałby kilkakrotnej zmiany ustaw regulujących funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego jedynie po to, aby wprowadzić do działalności orzeczniczej kilka osób wybranych na już obsadzone stanowiska sędziowskie. Prezes Rady Ministrów nie przyznałby sobie, wbrew zasadzie legalizmu (art. 7 Konstytucji) kompetencji do oceny, co jest wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego i „nadaje się” do druku w Dzienniku Ustaw. Nie prowadzono by szeroko zakrojonej akcji propagandowej, która pojedynczy przypadek kradzieży przez sędziego (oczywiście godny najwyższego potępienia) stara się przedstawić w społeczeństwie jako normę, uzasadniającą pozbawienie czci wszystkich sędziów. Minister Sprawiedliwości nie pisałby projektów ustaw nadających mu status namiestnika sądownictwa – z praktycznie nieograniczonym prawem wymiany kadr od sądów rejonowych aż po Sąd Najwyższy. Nie łudzę się, że ze zmian personalnych obóz rządzący zrezygnuje.

„Kadry decydują o wszystkim”.

Nie mam wątpliwości, że kluczowe decyzje polityczne, dotyczące sądów poczynawszy od 25 października 2015 r., nie tylko składają się na ciąg działań oczywiście sprzecznych z obowiązującą Konstytucją, lecz co więcej, stanowią element szerszej strategii, zmierzającej do destrukcji państwa takiego, jakim ono jest. Usuwa się i pozbawia praw funkcjonariuszy publicznych. Niszczona jest ciągłość funkcjonowania instytucji państwowych. To niewątpliwie jest sytuacja rewolucyjna.

Teraz trochę na temat tego, jak należy zmieniać wymiar sprawiedliwości. Założeniem przewodniego hasła naszej konferencji wyraźnie jest potrzeba zmiany i środowisko sędziowskie – wbrew temu, co mu się imputuje – wcale jej nie neguje. Jednak diagnoza problemów sądownictwa – taka, jaką znamy z enuncjacji polityków obozu rządzącego – jest, bardzo oględnie mówiąc, fałszywa. Zaczniemy od spraw personalnych. W Polsce jest dużo sędziów, ogółem około 10 tysięcy. Można mieć duże zastrzeżenia do stylu zarządzania sądami i biegiem spraw. Ale głęboko nieprawdziwy i krzywdzący jest obraz rzekomego, powszechnego lenistwa sędziów, nie mówiąc już o ich złej woli lub wykorzystywaniu stanowisk do celów prywatnych. Przecież obciążenie pracą tych ludzi – w większości około czterdziestoletnich (więc nie mających szans jakiegokolwiek flirtu z PRL) – wynosi kilkaset spraw rocznie! Ten, kto pracuje siedem dni w tygodniu po kilkanaście godzin na dobę, naprawdę nie dba o własny interes. Niestety, w takich warunkach można też popełniać spore i kosztowne błędy.

Proszę zatem powiedzieć, dlaczego w ramach rzekomej reformy sądownictwa niemal nie porusza się tematu kognicji sądów, zaś o racjonalności przydziału spraw wspomina się co najwyżej na szarym końcu? Czy Ministerstwo Sprawiedliwości z kimkolwiek o tym poważnie porozmawiało? Dlaczego nie pokazano przynajmniej założeń do projektów, tak jak to się robi w normalnych, europejskich państwach? Dlaczego wypycha się tak ważne nowelizacje (a wiemy, kto jest ich autorem) jako inicjatywę poselską? Jakie jeszcze inne – niż te już znane – zamierzenia ma minister wobec sędziów i sądów? Pytam o to, bo efekt dotychczasowych działań jest taki, że zamiast rzetelnej debaty ze wszystkimi interesariuszami na temat tego, co i jak zmienić, słyszymy absurdalne i haniebne wystąpienie jednego z urzędujących wiceministrów na ogólnopolskiej konferencji, który obecnych tam sędziów oskarża, że się „nie oczyścili” oraz chronią „stalinowskich oprawców”. Mamy również dowody gigantycznej, ministerialnej niekompetencji, kiedy jednym ruchem pióra rozwiązuje się dwie Komisje Kodyfikacyjne.

Pytam zatem, jak rzekomo odpowiedzialni politycy, którzy twierdzą, że mają plan reform, zamierzają poradzić sobie z racjonalną polityką stanowienia prawa? Co, poza spaloną ziemią, chcą po sobie pozostawić?

Rewolucji nie należy mylić z reformami. Te pierwsze oznaczają tylko zniszczenie zastanych struktur państwa po to, aby ustanowić własne. W historii ludzkości nie znajdziemy bytu politycznego, który lepiej służyłby obywatelom dzięki temu, że na skutek przewrotu politycznego pozbył się swoich instytucji. Silniejsza – na chwilę, na jakiś czas – może stać się tylko władza nad społeczeństwem tych, którzy tym procesem zniszczenia próbują sterować. Jednak los Robespierre’a powinien być dla nich przestrogą.

Na zakończenie jeszcze jedna refleksja natury historycznej. Są narody, które doświadczyły problemów z sądownictwem i rewolucją – i czegoś się dzięki temu nauczyły. W Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii mroczny czas siedemnastowiecznych wojen domowych, zwieńczonych dyktaturą Oliviera Cromwella, ostatecznie kończą dwie, obowiązujące do dziś dnia ustawy: Deklaracja Praw (*Bill of Rights*) z 1689 r. oraz Akt o sukcesji (*Act of Settlement*) z 1701 r. Obie te ustawy, uważane za fundament brytyjskiego konstytucjonalizmu, nie tylko ograniczyły władzę króla, lecz również zagwarantowały na wieki status władzy sądowniczej. Jeden z artykułów dodatkowych Aktu o sukcesji wprost zakazywał królowi – co niestety zdarzało się wcześniej – usuwać sędziów, którzy

postępują w sposób prawy (*quamdiu se bene gesserint*). Złożenie sędziego z urzędu, choć według ustawy teoretycznie możliwe, nigdy nie miało miejsca! Ktoś mógłby powiedzieć, że zapewne sądy angielskie działają idealnie. Nic podobnego! Gdyby tak było, Charles Dickens nie opisałby w pięknej powieści pt. „Samotnia” (*Bleak House*) fikcyjnej, lecz w rzeczywistości wcale nie odosobnionej sprawy przed dziewiętnastowiecznym Sądem Kanclerskim, której początku nie pamiętał żaden uczestniczący w niej prawnik, a kosztów nikt nie umiał policzyć.

Mimo to reformy sądownictwa w Wielkiej Brytanii są prowadzone mądrze, w duchu rzetelnej debaty. Pierwsza, wielka reforma sądów najwyższych Zjednoczonego Królestwa przypadła na lata 1870, zaś Sąd Najwyższy Wielkiej Brytanii – w miejsce jurysdykcji sprawowanej przez Izbę Lordów – utworzono zaledwie około dziesięciu lat temu. Bynajmniej nie dlatego, że wszystko społeczeństwu się podoba, lecz dlatego, że kultura debaty publicznej sprzyja studzeniu emocji i skłania do tego, aby nie podejmować ważnych decyzji zbyt pochopnie. Takiej właśnie kultury życzę sprawującym dzisiaj władzę w naszym kraju. Powinno tego od nich żądać całe społeczeństwo.

Dziękuję za uwagę!